

Styczeń 2008

Za chlebem A. D. 2007

Czas Świąt Bożego Narodzenia jest tradycyjnie już czasem powrotów do rodzinnych domów wszystkich tych, którzy zdecydowali się na pracę za granicą. Chociaż jednak chodzi o wielką rzeszę rodaków, to zarobkowa emigracja polska początku XXI w. jedynie pod pewnymi względami przypomina wcześniejsze masowe wyjazdy „za chlebem”, choćby te związane z przełomem politycznym na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Nikt już dzisiaj, wyjeżdżając z kraju, nie musi ronić łez, przeczuwając długotrwałe rozstanie czy niemożność powrotu całymi latami, nikt już też nie musi pisywać listów kończących się tęsknym „pozdrowienia z dalekiej Anglii....”. Otwarte granice, ale także współczesne możliwości komunikacji – od komórek do tanich linii lotniczych – uczyniły „daleką Anglię” i inne kraje europejskie pobliskim sąsiedztwem.

Mimo to problemy związane z emigracją zarobkową nie stały się wcale mniejsze. Obok tych związanych z gospodarką i ekonomią (np. brak rak do pracy w Polsce, ale też napływ gotówki wraz z wracającymi emigrantami), warto przez chwilę zwrócić uwagę na zagadnienia dotyczące tożsamości osób wyjeżdżających, w tym również tożsamości religijnej. Konfrontacja z odmiennym stylem życia i kulturą, ale także odmiennymi systemami wartości stanowi dla wielu rodaków nie lada wyzwanie. Do najtrudniejszych należy sprostanie zadaniu, jakim jest wierność własnej wierze i wyznawanym przez siebie normom moralnym. Nie można się więc dziwić, że opieka nad emigrantami została przez papieża Benedykta XVI podniesiona do rangi priorytetowych zadań, z jakimi musi się zmierzyć Kościół w Polsce. Warto jeszcze raz przypomnieć słowa papieża, wypowiedziane do duchowieństwa w

warszawskiej Archikatedrze św. Jana w dniu 25 maja 2006 r.: *„Dzisiaj Kościół polski stoi przed wielkim wyzwaniem, jakim jest duszpasterska troska o wiernych, którzy Polskę opuścili. Plaga bezrobocia zmusza wiele osób do wyjazdu za granicę. Jest to zjawisko o ogromnej skali. Gdy rodziny są przez to rozdzielone, gdy rwą się więzi społeczne, Kościół nie może być obojętny. Trzeba, aby wyjeżdżającym towarzyszyli kapłani, którzy w łączności z lokalnymi Kościołami podejmą pracę duszpasterską wśród emigracji. Kościół w Polsce dał już wielu księży i wiele sióstr, którzy posługują, nie tylko Polakom poza granicami kraju, ale również na misjach, nieraz w bardzo trudnych warunkach, w Afryce, w Azji, w Ameryce Łacińskiej i innych regionach. Nie zapominajcie, drodzy kapłani, o tych misjonarzach. Dar licznych powołań, jakim Bóg pobłogosławił wasz Kościół, powinien być przyjmowany w duchu prawdziwie katolickim. Kapłani polscy, nie bójcie się opuścić wasz bezpieczny i znany świat, by służyć tam, gdzie brak kapłanów i gdzie wasza wielkoduszność przyniesie wielokrotne owoce!”*

Warto zauważyć, że dominująca w przemówieniu Benedykta XVI nie jest wcale perspektywa narodowa, jakoby kapłani mieli dbać o emigrantów w tym celu, by ci nie stracili tożsamości narodowej i ducha patriotyzmu. Ten element nie jest tu oczywiście wykluczony, jednak Papież wskazuje na inną istotną wartość – na prawdziwą katolickość Kościoła, która w odniesieniu do kapłanów polega na gotowości pracy w innych krajach i innych kulturach, a w odniesieniu do ogółu wiernych – na gotowości aktywnego uczestniczenia w życiu tamtejszych wspólnot kościelnych. Chodzi także o otwarcie na inny koloryt związany z Kościołami lokalnymi w różnych krajach europejskich.

Inny koloryt nie oznacza jednak odmiennej wiary i moralności. Papież wydaje się przeczuwać dwa przeciwstawne niebezpieczeństwa, z jakimi muszą zmierzyć się polski Kościół i polscy katolicy, żyjący czasowo bądź stale poza

granicami kraju. Jednym z nich jest postawa ksenofobiczna, reagująca nieufnością i niechęcią na zwyczaje i praktyki odmienne od znanych z polskiej codzienności kościelnej. Niebezpieczeństwo leżące na antypodach postawy ksenofobicznej nie jest jednak wcale mniej groźne: jest to postawa bezkrytycznie akceptująca zastane w danym kraju zwyczaje i praktyki religijne, a szczególnie normy moralne, jakie kierują życiem codziennym. Przeciętny Polak będzie musiał wprawdzie z pokorą przyznać, że w zakresie np. uczciwości podatkowej, prawdomówności, etosu pracy czy lojalności wobec państwa musi się jeszcze wiele uczyć od mieszkańców rozwiniętych społeczeństw Zachodu. Jeżeli jednak jest wystarczająco krytyczny, dostrzeże także, że np. w zakresie wierności niedzielnej Eucharystii czy też etyki seksualnej i wierności małżeńskiej moralność publiczna panująca w wielu krajach zachodnich diametralnie odbiega od ducha Ewangelii.

Niełatwo jest zachować i ocalić własne przekonania, gdy nie zna się wystarczająco języka i gdy człowiek czuje się niejednokrotnie samotnym w obojętnym religijnie otoczeniu. Tym bardziej cenny jest wysiłek tych, którzy również na obczyźnie poszukują możliwości czynnego uczestniczenia w życiu religijnym i dbają o wierność chrześcijańskim normom moralnym. Trzeba sobie uzmysłwić, że domaganie się respektowania własnej wiary przez innych nie jest ani przejawem zaściankowego konserwatyzmu, ani też luksusem, na który mogą sobie pozwolić nieliczni, ale należy do fundamentalnych praw człowieka. Dominująca w społeczeństwach zachodnich mentalność, jakoby wiara była wyłącznie sprawą prywatną, która nie ma i nie może mieć wpływu na kształt życia społecznego, jest po prostu błędna. Aktywna postawa, która wyzbędzie się kompleksów i nie ugnie się wobec sugestii, jakoby chodziło o polską, zaściankowe, niedzisiejsze i nieeuropejskie poglądy, z których należy wyrosnąć jak z przyciasnego ubrania, pozwoli ocalić to, co w polskiej religijności

wartościowe. Wtedy też coroczne świąteczne powroty nie będą traktowane jak powroty do skansenu, w którym świat kręci się jeszcze „po staremu”, ale prawdziwe życie toczy się gdzie indziej, tam, gdzie nikt już nie pyta o wiarę i Chrystusa, a liczy się jedynie ekonomia i wydajność. Życia religijnego nie można odkładać na później, na za kilka lat, gdy zarobi się już wystarczająco dużo pieniędzy, by móc wrócić do starej, dobrej Polski. Jeżeli wiara nie okaże się na tyle silna, by kształtować życie codzienne na obczyźnie, nie będzie też umiała radzić sobie z wyzwaniami, jakie niesie życie w ojczyźnie.

Luty 2008

La Sapienza

To włoskie słowo oznacza mądrość, która wyrasta z gorliwego i nieuprzedzonego poszukiwania prawdy. Nie można chyba wymyślić lepszego imienia dla uniwersytetu – średniowiecznego wynalazku, który mimo upływu stuleci nie stracił nic ze swojej atrakcyjności i tak dalece wrósł w kulturę, że bez niego nie można już sobie wyobrazić współczesnego świata. Uniwersytet to przestrzeń, w którym krystalizuje się niejako nieujarzmiona ludzka tęsknota za poznaniem i niezaspokojone parcie do coraz to lepszego zastosowania poznanej wiedzy w praktyce; to społeczność, w ramach której uczeni i studiujący toczą spory na temat bardziej adekwatnego rozumienia rzeczywistości. Do istoty uniwersytetu należą zatem z jednej strony dążenie do prawdy, wolne od uprzedzeń i ulegania wpływom i interesom, a z drugiej – wolność poszukiwań.

Wydarzenia związane z odwołaniem w ostatniej chwili wykładu inauguracyjnego Benedykta XVI na rzymskim uniwersytecie „La Sapienza” burzą

wizję niezawisłego i otwartego na spór uniwersytetu. List 67 spośród prawie 3000 nauczycieli akademickich tego uniwersytetu wywołał protesty niewielkiej części społeczności akademickiej przeciw zaproszeniu papieża do wygłoszenia wykładu inauguracyjnego. Powodem tych protestów miał być rzekomy brak tolerancji w wypowiedziach papieskich, a ilustracją tego braku stała się wypowiedź Josepha Ratzingera sprzed lat, w której określił proces Galileusza jako na owe czasy sprawiedliwy. Protest okazał się na tyle medialnie skuteczny, że Benedykt XVI odwołał planowaną wizytę. Stolica Apostolska opublikowała jednak tekst wykładu, który papież miał wygłosić.

Tematem odwołanego wystąpienia papieża miała być relacja rozumu i wiary oraz miejsce refleksji teologicznej w strukturze uczelni ukierunkowanej na odkrywanie prawdy. Jest to niewątpliwie fundamentalny temat, który był już bardzo bliski kardynałowi Josephowi Ratzingerowi i stał się niewątpliwie jednym z czołowych motywów nauczania Benedykta XVI. Papież wchodzi tu niewątpliwie w spór ze współczesnym rozumieniem roli rozumu i prawdy, jednak czyni to nie z pozycji swego papieskiego autorytetu, ale – wręcz przeciwnie – deklaruje: *To pewne, że „Sapienza” była niegdyś uniwersytetem papieskim, jednak dzisiaj jest świeckim uniwersytetem wraz ze swoją autonomią, należącą od samych początków idei założycielskiej do istoty uniwersytetu, który czuje się zobowiązany jedynie wobec autorytetu prawdy. W tej swojej wolności od politycznych i kościelnych autorytetów, spełnia uniwersytet niezastąpioną funkcję szczególnie w ramach współczesnego społeczeństwa, które potrzebuje tego rodzaju instytucji.* Nie sposób nie zadać sygnatariuszom protestu pytania, w czym ta papieska wizja uniwersytetu zagraża jego niezawisłości? A może nie chodzi tu wcale o niezależność uniwersytetu, ale o dogmatyczne usunięcie z przestrzeni akademickiej wszelkiej wzmianki o Bogu, o instytucjonalne zadekretowanie, że jedyną formą

racjonalności, jaka przystoi badaniom naukowym jest racjonalność empiryczna, właściwa naukom przyrodniczym? Czy jednak takie ograniczenie refleksji nad rzeczywistością nie jest wręcz zdradą idei uniwersytetu, jako przestrzeni sporu i swobodnej wymiany myśli różnej proveniencji? Czyż protest części pracowników naukowych „Sapienzy” nie ujawnia prób zagarnięcia przestrzeni uniwersyteckiej przez dogmatyczny agnostycyzm, który w praktyce jest tożsamy z ateizmem i który nie potrafi już prowadzić swobodnej i szerokiej naukowej dysputy? Taka zawężona i okrojona wizja racjonalności jest nie do przyjęcia. Co więcej, praktyczne skutki *wyrzucenia do kosza historii idei* – jak mówi papież – tego skarbcza mądrości, jaką zrodziła wiara chrześcijańska, mogą być dla ludzkości katastrofalne.

Co zatem papież ma do powiedzenia na uniwersytecie? – tym pytaniem Benedykt XVI kończy swój nie wygłoszony wykład. I udziela na nie odpowiedzi: *[Papież] oczywiście nie powinien w autorytarny sposób zmuszać kogokolwiek do wiary, która może być człowiekowi ofiarowana jedynie w wolności. Poza swoją służbą pasterską w Kościele i w ramach istoty posługiwania pasterskiego ma on jednak zadanie podtrzymywania wrażliwości wobec prawdy; zapraszania ciągle na nowo rozumu, by nie ustawał w poszukiwaniu tego, co prawdziwe i dobre, w poszukiwaniu Boga i by na tej drodze dostrzegł liczne światła, które pojawiły się w historii wiary chrześcijańskiej; [by dostrzegł] w końcu Jezusa Chrystusa jako Światło oświecające historię i pokazujące drogę ku przyszłości.*

Protest zwolenników całkowitej laickości uniwersytetu uniemożliwił wygłoszenie wykładu, który niewątpliwie jest zaproszeniem do sporu o istotę uniwersytetu, ale także istotę racjonalności badań naukowych – o prawdę. Dla Josepha Ratzingera nie było to pierwsze tego typu doświadczenie. Podobne incydenty miały miejsce w czasie rewolty studenckiej w latach 1966-69, czy chociażby 10 czerwca 1980 r., gdy grupa głośno protestujących demonstrantów

przeszkodziła w wygłoszeniu wykładu na uniwersytecie monachijskim. Jednak w przypadku nie wygłoszonego wykładu na Uniwersytecie „La Sapienza” reakcja społeczności akademickiej była inna. Uroczystość inaugurującą nowy rok akademicki, która miała miejsce 17 stycznia 2008 r. zbojkotowali liczni profesorowie, a część studentów przyszło na nią z chustami, którymi przewiązali sobie usta na znak protestu przeciwko „zamknięciu ust” papieżowi. Odbywająca się niedługo potem niedzielna audyencja na placu św. Piotra zgromadziła niemalże dwieście tysięcy ludzi i przerodziła się w manifestację poparcia dla Benedykta XVI. Czy fakty te można interpretować jako znak, że współczesne próby instytucjonalnego wypchnięcia wiary chrześcijańskiej z przestrzeni społecznej natrafią na reakcję chrześcijan, którzy nie boją się już publicznie przyznawać do własnej wiary i promowanych przez nią wartości?

Marzec 2008

Lustracja raz jeszcze

Od kilku miesięcy w jednym z olsztyńskich periodyków („Debata”) publikowane są dokumenty dotyczące współpracy z SB w czasach PRL-u czołowych pracowników naukowych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. W ostatniej publikacji ujawniono także część dokumentacji dotyczącej dziekana Wydziału Teologii. Spokój i rozważna ocena, do której wezwał Arcybiskup Metropolita Warmiński a jednocześnie Wielki Kanclerz Wydziału Teologii, są rzeczywiście niezbędne, chociaż sprawa ta dogłębnie porusza i nie pozwala na przyjęcie postawy biernego i neutralnego obserwatora. Trudno wydawać oceny personalne, gdy się nie widziało całości dokumentów. Zrobią to zapewne powołane komisje historyczne (uniwersytecka i kościelna), a także sąd, do którego oddał sprawę pomówiony o współpracę z SB kapłan. Zawsze, gdy

chodzi o sprawy publiczne wywołujące wielkie emocje, proces ujawnienia zawartości teczek będzie łączył się z wielością emocjonalnych ocen, sądów i stanowisk. Zawsze też pojawi się niebezpieczeństwo nadużycia wolności słowa i prawa społeczeństwa do prawdy, przez kogoś, kto na ujawnianiu przeszłości próbuje zbić własny „kapitał” popularności. Szafujący oceny, szczególnie gdy czasy komunizmu znają jedynie z książek, powinni wziąć sobie do serca słowa Benedykta XVI skierowane do duchowieństwa 25 maja 2006 r. w katedrze św. Jana w Warszawie: *Trzeba unikać aroganckiej pozy sędziów minionych pokoleń, które żyły w innych czasach i w innych okolicznościach. Potrzeba pokornej szczerości, by nie negować grzechów przeszłości, ale też nie rzucać lekkomyślnie oskarżeń bez rzeczywistych dowodów, nie biorąc pod uwagę różnych ówczesnych uwarunkowań.*

Po raz kolejny jednak wraca w kontekście tych dramatycznych wydarzeń pytanie o sens i zasadność procesu lustracji, nie tylko duchownych, ale wszystkich, którzy piastują wysokie urzędy, bądź do nich aspirują. Czy – jak to określił jeden z polityków – należy zabetonować akta IPN w szczelnym bunkrze na następne pięćdziesiąt lat? Nie! Lustracja musi być dokonana – i to z co najmniej trzech względów:

1. Najpierw i przede wszystkim ze względu na tych, którzy w tamtych czasach bohatercko podejmowali ryzyko sprzeciwu, nie ulegli naciskom, groźbom i pokusom ułatwień i korzyści. Trzeba zrobić wszystko, by ofiary represji nie czuły się dzisiaj jak naiwni marzyciele, którzy zamiast działać pragmatycznie, kierowali się jakimś nierealistycznym, nikomu niepotrzebnym i w sumie bezsensownym idealizmem,. Skoro ich postawa została okupiona nierzadko niemożnością realizacji własnych marzeń i możliwości, powinni po latach przynajmniej uzyskać moralną satysfakcję. Te godne wielkiego szacunku postawy powinny zostać pokazane, m.in. także w oparciu o ujawnienie postaw

podłych, wyrachowanych i egocentrycznych, postaw tych, którzy stali się pomocnikami aparatu ucisku;

2. Potem także ze względu na tych, którzy mieli nieszczęście uwikłać się w rzeczywistą współpracę z SB. Ujawnienie przeszłości będzie nie tylko okazją do wykazania skruchy i podjęcia pokuty, ale także do korekty sumień, które, jak się wydaje, w wielu wypadkach stały się nieczułe na jeden z podstawowych obowiązków człowieka wobec własnego grzechu: obowiązku wyznania go i zadośćuczynienia, jeżeli wyrządziło się komuś krzywdę;

3. I wreszcie odsłonięcie kulisów naszej najnowszej historii jest konieczne także ze względu na dzisiejszą młodzież i przyszłe pokolenia. Nie odsłaniając przeszłości, nie dokonując żadnych z nią rozliczeń, nie podejmując pokuty, łamiemy moralny kręgosłup tych młodych ludzi. Pozostawienie nie załatwionym procesu lustracji jest jednoznaczne z wysłaniem do nich komunikatu o następującej treści: „Jeżeli kłamiesz, jeżeli jesteś nieuczciwy, jeżeli decydujesz się współpracować ze złem, rób to tylko wystarczająco długo i konsekwentnie, a możesz być pewny, że historia przyzna ci rację i nie będziesz musiał ponieść kary za nieuczciwość”. Wtedy nie trzeba się dziwić, jeżeli wielu młodych ludzi odłoży na bok wszelkie ideały związane z życiem w prawdzie, z odważnym sprzeciwem wobec zła, z gotowością do tracenia, gdy ceną za doraźne zyski miałyby być nieuczciwość. Dlaczego nie mają być pragmatyczni aż po kolaborację ze złem, gdy ci, którzy przyjęli taką postawę przed dwudziestu, trzydziestu czy czterdziestu laty dziś bez żenady zbierają profity swoich dawnych kompromisów ze złem?

Zdecydowany głos za lustracją, również tą dotyczącą Kościoła, nie może jednak oznaczać po prostu otwarcia archiwów, po to, by wybierano z nich co bardziej „atrakcyjne” teczki i prezentowano je opinii publicznej, podbijając tym nakłady lokalnych gazet. Błędem i winą rządzących, ale także wielkiej części

środowisk, nie tylko kościelnych, ale także środowisk ludzi mediów i ludzi nauki, jest zaniechanie intensywnej pracy nad odsłonięciem mechanizmów działania dawnej Służby Bezpieczeństwa, a także wypracowania i – co jeszcze ważniejsze – spopularyzowania pewnej typologii kontaktów z SB. Powszechnie wiadomo, że nie wszystkie kontakty i nie każda rozmowa z funkcjonariuszami SB może być określona jako moralnie naganna współpraca. Niewątpliwie też zaniechanie prac nad ustawą deubekizacyjną nie pozwala umieścić faktu współpracy z SB we właściwym kontekście. Chodzi przecież nie tylko o ukazanie „płotek”, tajnych współpracowników, którzy będąc niewątpliwymi sprawcami zła, byli jednocześnie tragicznymi ofiarami systemu, ale przede wszystkim trzeba ujawnić ich mocodawców i tych, którzy dobrowolnie tworzyli i konstruowali sieć agenturalną w PRL-u. Spektakularne ujawnianie agentów sprawia, że w oczach opinii społecznej wydają się oni być niemalże uosobieniem zła, podczas gdy prawdziwi sprawcy, uposażeni w wysokie emerytury, pozostają nadal szanowanymi obywatelami. Odnosi się wrażenie, że – poza działaniami IPN – brak jest zainteresowania środowisk opiniotwórczych oraz mediów dogłębnym rozwiązaniem tego zagadnienia. Brak zaangażowania w tej kwestii może tylko prowadzić do takich spektakularnych działań, jak te, które przeżywa olsztyńskie środowisko uniwersyteckie w ostatnich miesiącach i tygodniach.

Kwiecień 2008

Spętana olimpiada

Krwawe stłumienie zamieszek w Tybecie przez władze chińskie przebudziło wiele sumień. Coraz częściej stawiane jest pytanie, czy udział przedstawicieli wolnego świata w mającej się odbyć w lecie 2008 roku olimpiadzie w Pekinie nie stanowiłby rażącego aktu poparcia dla reżimu, który

w tak brutalny sposób obchodzi się z Tybetańczykami? Głosy na ten temat są wyraźnie podzielone. Koronnym argumentem przeciwników jakiegokolwiek wiązania planowanej olimpiady ze sprawą Tybetu jest obowiązujący każdego olimpijczyka zakaz wyrażania przy okazji zawodów sportowych swoich politycznych preferencji i opinii. Można przypuszczać, że takie wymagania w odniesieniu do postawy sportowca mają na celu zapobieżenie sytuacji, w której rywalizacja sportowa zamienia się w trybunę wiecu wyborczego i agitacji politycznej, a na odniesienie widzów i sędziów do zmagających się sportowców, ale także sportowców między sobą, decydujący wpływ mają sympatie i antypatie polityczne. Trudno polemizować z poglądem, że rzeczywiście nie powinno się mieszać sportu do zwyczajnej walki politycznej. Niektórzy podkreślają, że jest już za późno na dywagacje o tym, czy olimpiada ma się odbyć czy nie, skoro organizacja igrzysk została oficjalnie Chinom przyznana. Obserwatorzy polityczni wskazują także na katastrofalne skutki, jakie mógłby pociągnąć za sobą bojkot olimpiady. Europa powinna, jak się argumentuje, wziąć pod uwagę zupełnie odmienną mentalność Chińczyków, którzy mocno identyfikują się ze swoim państwem. Bojkot olimpiady byłby postrzegany przez chiński naród nie w kategoriach upomnienia danego władzom reżimowym, ale jako obraza wszystkich Chińczyków. Do tego dochodzą jeszcze argumenty samych sportowców, którzy czują się potencjalnymi ofiarami ewentualnego bojkotu igrzysk. Dla wielu olimpijczyków będzie to jedyna w życiu szansa wystąpienia na olimpiadzie, szansa, która się już nie powtórzy.

To ważne argumenty. Czy jednak do końca przekonujące? Nawet jeżeli można się zgodzić z tym, że całkowity bojkot olimpiady byłby decyzją kontraproduktywną (sam Dalai Lama nawołuje, by tego nie czynić), to jednak propozycje, by zarówno z ceremonii otwarcia, jak i samych zmagani sportowych wyłączyć sprawę Tybetu, są absolutnie nie do przyjęcia. W tym konkretnym

przypadku sport nie uniknie konfrontacji z polityką, jakąkolwiek decyzję podejmą zarządy kadr olimpijczyków i sami sportowcy. Wiąże się to z faktem, że każdorazowa olimpiada jest nie tylko wydarzeniem sportowym, ale ma także istotny wymiar ekonomiczno-biznesowy i medialny. Brak jakiegokolwiek reakcji będzie manifestacją obojętności wobec łamania praw człowieka w Tybecie, a więc również demonstracją milczącego poparcia dla polityki władz chińskich. W tym konkretnym przypadku potwierdza się prawdziwość starożytnego powiedzenia: *Qui tacet, consentire videtur* (kto milczy, ten zdaje się zgadzać). Taka postawa oznaczałaby, że cierpienie niewinnych ofiar represji, a także śmierć wielu z nich, są kwestia marginalną, dla której nie opłacać się psuć dobrej atmosfery i naruszać politycznej poprawności.

Odnosi się przykre wrażenie, że za wezwaniami do marginalizacji całej kwestii stoją po prostu finansowe interesy państw i grup biznesowych. Jeszcze raz może się okazać, że wolny świat walczy o prawa człowieka wybiórczo, zależnie od tego, jakie korzyści lub straty finansowe może za sobą takie zaangażowanie pociągnąć. Brak jednoznacznego stanowiska Unii Europejskiej w tej sprawie stawia pod znakiem zapytania cały patos związany z prawami człowieka, tak bardzo podkreślanymi w unijnych dokumentach. Ta sama Unia, która w innych wypadkach w imię ochrony rozszerzonego do granic absurdu katalogu praw człowieka potrafi uchwałać wspólne rezolucje i piętnować kraje nie spełniające wyznaczonych standardów, w przypadku oczywistego naruszenia fundamentalnych praw osób ludzkich (a szczególnie fundamentalnego prawa do życia) w Tybecie nabiera wody w usta i ogranicza się do enigmatycznego zaproszenia stron konfliktu do dialogu. Jest to przykład zinstytucjonalizowanej obłudy cechującej gremium, które mogłoby swoją jednoznaczną postawą w istotny sposób wpłynąć na bieg wypadków w Tybecie.

Jednoznaczne stanowisko w postaci np. bojkotu ceremonii otwarcia, ale też wiele drobnych znaków (elementy stroju i symboliczne gesty) powinny stać się istotnymi elementami uczestnictwa w pekińskiej olimpiadzie. Nadzieje wolnego świata na to, że przyznanie Chinom prawa organizowania igrzysk doprowadzi do demokratyzacji relacji społecznych w Państwie Środka, nie spełniły się. Jest to tym bardziej istotne, że takie właśnie warunki sformułował wobec Chin Międzynarodowy Komitet Olimpijski, przyznając im prawo organizacji igrzysk. Nie można powoływać się na konieczność apolityczności olimpijczyków, ignorując jednocześnie fakt, że państwo organizujące igrzyska w drastyczny sposób narusza postanowienia Karty Olimpijskiej. Czytamy w niej, że *celem Olimpizmu jest umiejscowienie sportu w służebnej roli na rzecz harmonijnego rozwoju człowieka, z wizją promocji pokojowego społeczeństwa i zachowania godności ludzkiej* (punkt 2).

Postawa pasywna i nieobecność motywu Tybetu w trakcie igrzysk byłaby rażącym wykroczeniem przeciwko moralnemu obowiązкови pomocy – oczywiście zawsze na miarę możliwości! – tym, których dotyka niesprawiedliwa przemoc. Taka postawa stałaby się świadectwem cynizmu zachodniej cywilizacji, która wprawdzie bardzo chętnie odwołuje się do ideałów wolności, równości i braterstwa, jednak w sytuacji rzeczywistej konfrontacji z przypadkami łamania praw człowieka zawsze wygrywają argumenty ekonomiczne, racje wielkiej polityki, albo najzwyczajniejszy ludzki egoizm. Byłaby to zdrada idei olimpizmu, w imię której przecież igrzyska są organizowane.

Maj 2008

Benedykt XVI w ONZ

Wizyta papieża Benedykta XVI w Stanach Zjednoczonych spotkała się z dużym zainteresowaniem opinii publicznej. Z jednej strony Stany Zjednoczone są jak dotąd jedynym światowym mocarstwem, które – ku zadowoleniu jednych i oburzeniu innych – pretenduje do roli wiodącej siły całej ludzkości. Ale również eklezjalny kontekst wizyty Ojca Świętego był bacznie obserwowany. Kościół amerykański to ciągle jeszcze jeden z najbardziej żywotnych Kościołów lokalnych, chociaż afery pedofilskie duchownych, ujawnione w ostatnich latach, spowodowały nie tylko wielkie straty finansowe, ale doprowadziły także do poważnego kryzysu zaufania w społeczeństwie amerykańskim. Komentatorzy podkreślają, że choć papież Benedykt nie ma charyzmy swojego poprzednika, to jednak otwartość, z jaką wielokrotnie zajął stanowisko wobec tych problemów, zaskarbiły mu wiele sympatii i dodały Kościołowi amerykańskiemu nowej odwagi.

Trochę na marginesie wizyty papieża w Stanach Zjednoczonych, 18 kwietnia 2008 doszło do wystąpienia w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jak jego poprzednicy, Paweł VI i Jan Paweł II, również obecny papież podkreślił znaczenie Organizacji Stanów Zjednoczonych jako niezbędnej konkretyzacji wysiłku narodów do stworzenia ponadnarodowych struktur, skutecznie rozwiązujących globalne problemy. Szczególnym motywem przemówienia papieża była przypadająca w tym roku sześćdziesiąta rocznica uchwalenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Ogłoszenie tej deklaracji, która była reakcją na szok spowodowany poniżeniem i śmiercią milionów istnień ludzkich w czasie II wojny światowej, należy bez wątpienia uznać jako istotny postęp moralny w dziejach ludzkości. Uznając ich fundamentalne

znaczenie, Benedykt XVI wskazał jednocześnie na współczesne niebezpieczeństwa, związane z ich relatywizacją.

Jednym z zagrożeń jest, zdaniem papieża, stawianie pod znakiem zapytania ich uniwersalności. W imię politycznych, społecznych, a nawet religijnych założeń i interesów próbuje się negować ich uniwersalny i ogólnoludzki wymiar. Wielość sposobów pojmowania praw człowieka, nie może jednak, jak argumentował papież, przesłonić tego, że prawa człowieka są oparte na wartościach uniwersalnych, jak uniwersalna jest osoba ludzka, będąca podmiotem tych praw.

Inne istotne zagrożenie płynie z czysto pozytywistycznego podejścia do praw człowieka. Gdzie nie uznaje się już ich zakotwiczenia w prawie naturalnym, wpisanym w każde ludzkie sumienie i w ten sposób obecnym w różnych kulturach i cywilizacjach, tam pozostaje jedynie postrzeganie ich jako produktu działań legislacyjnych, jako wyniku konsensu między narodami, z natury swej relatywnego i zmiennego,. Taka próba reinterpretacji podstaw praw człowieka musi prowadzić w ostateczności do ich zakwestionowania. Z naciskiem Benedykt XVI podkreślił, że prawa człowieka, ale także płynące z nich obowiązki, wypływają w naturalny sposób z międzyludzkiej interakcji i nie mogą być dowolnie modelowane. Są one owocem wspólnego poczucia sprawiedliwości, ugruntowanego na solidarności między poszczególnymi członkami społeczeństw. W tym kontekście papież przywołuje tzw. „złotą regułę” – jedną z najstarszych zasad etycznych, sformułowaną w wielu kulturach starożytnych, obecną także w Biblii, a przypominaną u zarania chrześcijaństwa przez św. Augustyna: Nie czyń niczego, czego byś nie chciał, by tobie uczyniono.

Benedykt XVI zwrócił uwagę jeszcze na jeden aspekt, związany szczególnie z prawem do wolności religijnej. Prawo to ma zarówno prywatny, jak i publiczny

wymiar. Jest, jak podkreślił papież, wyrazem szacunku wobec jedności i integralności osoby. Dlatego też jest sytuacją nie do przyjęcia, gdy wymaga się od wierzących, by nie odwoływali się do argumentów religijnych, jeśli chcą być aktywnymi obywatelami. Papież podkreśla zdecydowanie, że nie można zaakceptować sytuacji, w której trzeba by zrezygnować z własnej wiary, by móc w pełni korzystać ze swoich obywatelskich praw. Wyraźnie widać to w kontekście sekularnej ideologii, która próbuje wyprzeć argumenty religijne z debaty publicznej, określając je jako prywatne i nieadekwatne. Pełne uznanie prawa do wolności wyznawania własnej religii musi obejmować także prawo do aktywnego uczestnictwa wierzących w budowaniu społeczeństwa. *Niechęć wobec uznania wkładu w społeczeństwo, który jest zakorzeniony w wymiarze religijnym i w poszukiwaniu Absolutu [...], prowadziłaby do uprzywilejowania spojrzenia indywidualistycznego i rozdarcia jedności osoby.*

W swoim wystąpieniu w ONZ papież wyraźnie poszukuje wspólnej płaszczyzny porozumienia mimo różnic światopoglądów, religii i zapatrywań politycznych. Stawka jest najwyższa – chodzi o sprawiedliwy porządek globalizującego się świata. Benedykt XVI zdaje sobie sprawę, że nie sposób rozwiązać globalnych problemów, bez współpracy możliwie wszystkich konstruktywnych sił. Z naciskiem przy tym przypomina, że nie wolno z tego dialogu pryncypialnie usuwać argumentów religijnych i ludzkiej tęsknoty za Absolutem, której wyrazem są religie. Dialog międzyreligijny nie jest jedynie wymianą poglądów przez członków jakichś prywatnych stowarzyszeń, ale stoi w samym centrum wysiłku zmierzającego do sprawiedliwego pokoju na świecie. Odbieranie wierzącym prawa do wyrażania swoich opinii również w przestrzeni społecznej jest nie tylko rażącym naruszeniem prawa do wolności religijnej, ale potęguje napięcia społeczne i uniemożliwia globalny dialog.

Czerwiec 2008

Wszystkie dzieci są nasze?

Żywe i niezwykle emocjonalne reakcje opinii publicznej na przykłady skrajnej brutalności, ale też bezgranicznej lekkomyślności rodziców i opiekunów wobec dzieci są niewątpliwie wynikiem medialnych doniesień, które sprawiają, że każdy taki przypadek staje się wydarzeniem na skalę całego kraju. Wydaje się jednak, że stwierdzenie, że takie rzeczy zawsze się zdarzały, tylko nie były nagłaśnianie, nie oddaje całej prawdy. Raczej trzeba przyznać, że mamy do czynienia nie tylko z ogólną brutalizacją społeczeństwa, ale także coraz częściej ze szczególnie drastycznym jej objawem, jakim jest przemoc wobec najbardziej bezbronnych – dzieci. W kulturze judeo-chrześcijańskiej (inaczej, niż w antycznej Grecji i Rzymie), dzieci otaczane były szacunkiem i traktowane je zawsze jako dar Niebios. Klasycznym wyrazem tego nastawienia jest postawa samego Jezusa, który nie waha się wskazać na postawę dziecka jako na wzór ufnego przyjęcia królestwa Bożego (por. Mk 10, 15).

Kultura, która ma takie korzenie, nie może nie reagować z oburzeniem i potępieniem na przypadki pobicia kilkumiesięcznych niemowląt, spowodowane – jak mówią sprawcy – ich płaczem, na przypadki pozostawienia małych dzieci bez opieki z powodu alkoholizmu rodziców, bądź też na szczególnie drastyczne sytuacje uwięzienia wraz z przemocą seksualną, jak byliśmy tego świadkami w przypadku Austriaka Josefa Fritzla, który kilkanaście lat więził swoją córkę i jej dzieci. Czy jednak wyrazy oburzenia, które tak szybko milkną, jak się pojawiają, to wystarczająca reakcja? Konieczna wydaje się szeroko zakrojona kampania, zmierzająca do upowszechnienia postawy bezwzględного szacunku wobec dzieci.

Miarą humanizmu każdej kultury jest sposób, w jaki odnosi się ona do najłabszych członków społeczeństwa, w tym wypadku – do dzieci. Odniesienie to nie może być fragmentaryczne, obejmujące jedynie jakąś grupę dzieci, np. tych chcianych i już urodzonych, ale powinno obejmować każde dziecko, niezależnie od stopnia jego rozwoju i życiowej fazy, w której się właśnie znajduje. Uznawanie świętości życia każdej osoby ludzkiej, od poczęcia do naturalnej śmierci jest wyrazem takiej właśnie postawy. Jedynie takie całościowe odniesienie jest w stanie ukształtować mentalność, w której żadne przestępstwa wobec dzieci nie będą tolerowane.

Niewątpliwie, również świadomość wierzących wymaga pogłębienia. Najpierw w odniesieniu do statusu dziecka w świetle wiary chrześcijańskiej, a potem także w odniesieniu do poczucia odpowiedzialności za krzywdy wyrządzane dzieciom przez otoczenie. Pierwsze z tych zagadnień wiąże się z pytaniem o odpowiedzialność wobec dziecka, które ma być poczęte. Niefrasobliwość, z jaką wiele par decyduje się na poczęcie dziecka, chociaż ich wzajemna relacja nie została jeszcze wyjaśniona i nie jest relacją stabilną, prowadzi często do sytuacji, w której dziecko staje się półsierotą w swoich pierwszych miesiącach rozwoju, albo nawet jeszcze przed narodzeniem. Podświadome przeświadczenie, w którym wzrasta, że jest przeszkodą na drodze do samorealizacji rodziców, może mieć katastrofalne skutki dla jego psychicznego i emocjonalnego rozwoju. Drugi aspekt – to aspekt odpowiedzialności wobec zła, którego jesteśmy świadkami. Obawa przed ingerencją w sytuacjach, w których ktoś staje się świadkiem przemocy domowej (bez przesadnego traktowania jako przemoc każdego małego klapsa!), prowadzi do tego, że sprawcy czują się bezkarni, a ofiary – całkowicie osamotnione i bezradne.

Warto wracać do bezkompromisowej postawy Jana Pawła II w jego podkreślaniu prawa do życia i rozwoju każdego dziecka. Już w 1979, w swoim przemówieniu na forum ONZ, a później także w adhortacji apostolskiej „Familiaris consortio”, papież podkreślał z naciskiem: *„Pragnę [...] wypowiedzieć tę radość, jaką dla każdego z nas stanowią dzieci, wiosna życia, zadatek przyszłości każdej dzisiejszej ojczyzny. Żaden kraj na świecie, żaden system polityczny nie może myśleć o swej przyszłości inaczej, jak tylko poprzez wizję tych nowych pokoleń, które przejmą od swoich rodziców wielorakie dziedzictwo wartości, zadań i dążeń zarówno własnego narodu, jak też całej rodziny ludzkiej. Troska o dziecko, jeszcze przed jego narodzeniem, od pierwszej chwili poczęcia, a potem w latach dziecięcych i młodzieńczych, jest pierwszym i podstawowym sprawdzianem stosunku człowieka do człowieka. I dlatego też, czegoż można bardziej życzyć każdemu narodowi i całej ludzkości, wszystkim dzieciom świata, jeśli nie owej lepszej przyszłości, w której poszanowanie praw człowieka stanie się pełną rzeczywistością [...]. Przyjęcie, miłość, szacunek, wieloraka i jednolita służba — materialna, uczuciowa, wychowawcza, duchowa — każdemu dziecku, które przychodzi na ten świat, winny stanowić zawsze charakterystyczną i nieodzowną cechę chrześcijan, a zwłaszcza rodzin chrześcijańskich [...]”* (Adhortacja Familiaris consortio, nr 26).

Na szczęście oprócz przykładem skrajnego okrucieństwa wobec dzieci, mamy też niezwykle budujące przykłady poświęcenia rodziców, szczególnie matek. Postawa polskiej siatkarki, Agaty Mróz, która oddała swoje życie, nie poddając się terapii anty nowotworowej w czasie ciąży, by móc urodzić swoją córkę, zasługuje na najwyższy szacunek. Trudno postrzegać taką postawę inaczej, jak tylko jako literalne spełnienie słów Jezusa: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15, 13). Chociaż do takiej prawdziwie heroicznej postawy bywają wezwane jednostki,

to jednak wpływa ona niewątpliwie na całe społeczeństwo. Życie, ale też rozwój każdego dziecka, jego prawo do pełnej rodziny, która tworzy optymalne warunki rozwoju dziecięcej osobowości, są wartościami, którymi nie wolno bezmyślnie szafować.

Lipiec 2008

Samotność Agaty

Tragedia lubelskiej nastolatki, określonej pseudonimem „Agata”, na nowo rozpalila dyskusję dotyczącą prawa do aborcji. Dla zwolenników jego liberalizacji przypadek czternastolatki, która po zajściu w ciążę ze swoim również nastoletnim kolegą, spotkała się z odmową lekarzy, którzy nie chcieli dokonać aborcji, jest kolejnym przykładem łamania istniejącego w Polsce, i tak restryktywnego prawa. Sytuacja „Agaty” jest w tym kontekście postrzegana jako niedopuszczalna ingerencja w sferę prywatności i naruszenie prawa do „autonomii prokreacyjnej”. Jak mówią zwolennicy dostępu do aborcji, chodzi im jedynie o to, by istniejące prawo było w pełni przestrzegane. Trudno oprzeć się wrażeniu, że rozgłos, jaki nadano tej sytuacji nie jest przypadkowy. Wielu obserwatorów podkreśla, że ujawnia się tu znany już z innych krajów schemat. Oto jakaś dramatyczna sytuacja niechcianej ciąży zostaje nagłośniona i medialnie jednoaspektowo zinterpretowana po to, by ostatecznie doprowadzić do liberalizacji prawa aborcyjnego. W burzy medialnej zniknął gdzieś fakt wprowadzenia w błąd opinii publicznej, jakoby ciąża miała być wynikiem gwałtu. Mimo tego okazało się, że dla zwolenników aborcji również (dobrowolne) kontakty seksualne nastolatków należą do kategorii czynów zakazanych, która uprawnia do zastosowania tej regulacji prawnej. Pytanie najbardziej istotne, pytanie o status człowieka przed urodzeniem, w ogóle się w

tej dyskusji nie pojawiło. Chodziło zapewne o to, by opinia publiczna odniosła wrażenie, że pytanie to dawno już zostało rozstrzygnięte i że aborcja to jedynie przerwanie pewnego niepożądanego stanu, w jakim znajduje się organizm kobiety (stąd zwrot „przerwanie ciąży”), a stan ten jest związany z obecnością obcej tkanki (stąd określenie „płód”), którą najzwyczajniej w świecie należy usunąć, by przywrócić stan sprzed niepożądanego i komplikującego życie zdarzenia jaki było „zajście w ciążę”. Widać tu wyraźnie nie tylko próbę ustanowienia nowej moralności przez modelowanie pojęć, ale także sposób opisu poczęcia istoty ludzkiej, który jest niezgodny ze współczesną wiedzę medyczną.

Pierwszą ofiarą medialnej burzy wokół ciąży „Agaty” jest jej nienarodzone dziecko, człowiek, który od momentu, gdy stwierdzono jego obecność stał się wrogiem publicznym numer jeden, przeciwko któremu zmobilizowano media i siły polityczne. Człowiek ten przegrał tę nierówną walkę w jednym z gdańskich szpitali, nie doczekawszy się nawet godziwego pogrzebu. Ale ofiarą tego wydarzenia pozostanie już na zawsze także „Agata”, którą wielu ludzi (ale niestety także jej najbliżsi) upewnili, że może cofnąć czas i przestać być matką. Dorosły świat okłamał ją w okrutny sposób. Gdyż w rzeczywistości gdy dowiedziała się o swojej ciąży, „Agata” miała tylko jeden wybór: mogła zostać matką żywego bądź martwego dziecka. Kluczową rolę w okaleczeniu jej życia odegrało jej bliższe i dalsze otoczenie. O jej zmaganiach, ale także labilności młodzieńczego charakteru świadczą próby zwrócenia się o pomoc do kapłana, który wraz z ludźmi zaangażowanymi w ochronę życia próbował zapobiec tragedii.

W kontekście tragedii „Agaty” i jej dziecka przychodzą na myśl słowa Jana Pawła II z encykliki „*Evangelium vitae*”, w której szczególnie mocno upominał się o prawo do życia nienarodzonych: *Nierzadko kobieta poddawana jest tak*

silnej presji, że czuje się psychicznie zmuszona do wyrażenia zgody na przerwanie ciąży: nie ulega wątpliwości, że w takim przypadku odpowiedzialność moralna spoczywa w szczególny sposób na tych, którzy bezpośrednio lub pośrednio zmusili ją do przerywania ciąży. Odpowiedzialni są także lekarze i pracownicy służby zdrowia, gdy oddają na służbę śmierci wiedzę i umiejętności zdobyte po to, by bronić życia. Ale odpowiedzialność spada też na prawodawców, którzy poparli i zatwierdzili prawa dopuszczające przerywanie ciąży, oraz – w takiej mierze, w jakiej sprawa ta od nich zależy – na zarządzających instytucjami służby zdrowia, w których dokonuje się przerywania ciąży (EV, nr 59). Wskazując na tę sieć nacisków zewnętrznych, którym bywa poddana kobieta ciężarna, Papież mówi o prawdziwej „strukturze grzechu”, wymierzonej przeciwko jeszcze nie narodzonemu życiu

W przypadku „Agaty” w drastyczny sposób ujawniona została ta przeciwna życiu „struktura grzechu”, która okazała się przerażająco skuteczna. Ludzie z bliższego i dalszego otoczenia zasugerowali jej wizję wolnej od ciężaru nieplanowanego macierzyństwa przyszłości, nie dbając o to, że będzie to przyszłość naznaczona raną po nienarodzonego dziecka. Los lubelskiej nastolatki pokazał jednocześnie, jak istotna jest nie tylko praca nad propagowaniem przychylnej życiu ludzkiemu mentalności i odpowiadającego jej kształtu ustawodawstwa, ale także jak ważne jest tworzenie skutecznych struktur oferujących realną pomoc kobietom, które noszą się z zamiarem dokonania aborcji. Realna alternatywa jest nierzadko kluczowym argumentem dla osoby, której problem polega właśnie na tym, że nie wyobraża sobie swojej przyszłości *wraz* ze swym dzieckiem, a wokół niej wiele głosów oferuje jej pomoc w wyborze przyszłości *bez* niego.

Publiczna dyskusja wokół przypadku „Agaty” ujawniła jednak jeszcze jedno. Oto cały zastęp świeckich katolików jasno wyraził swoje poglądy,

podpisując listy otwarte i wypowiadając się odważnie w mediach w obronie życia nienarodzonych. Zrobiły to nie tylko osoby nikomu nie znane, ale także rozpoznawalne twarze, w tym także ludzie samych mediów i sportowcy. To odważne świadectwo wiary pozwala mieć nadzieję, że Polska jest w stanie oprzeć się otwartym naciskom środowisk proaborcyjnych, w tym także instytucjonalnym naciskom różnych agend Unii Europejskiej. Warto tworzyć „struktury cywilizacji miłości”, skoro „struktury grzechu” okazują się tak bardzo skuteczne. Życie nienarodzonych warto jest pójścia na barykady.

Sierpień 2008

Gruzińska gehenna

Nie sposób nie uznać za demoniczny zbieg okoliczności faktu, że działania wojenne w Gruzji zbiegły się w czasie w inauguracją igrzysk olimpijskich w Pekinie. Zgodnie ze starożytną tradycją na czas igrzysk ogłoszony zostaje olimpijski pokój – czas, w którym powinny ustać wszelkie działania wojenne. W Gruzji nie tylko nie ustały, ale ich kilkudniowe nasilenie pochłonęło setki ofiar, w tym także wśród ludności cywilnej. Wielu komentatorów uznaje konflikt, który stał się przyczyną wojny w Gruzji z jednej strony za dalekie echo rozpadu imperium sowieckiego, a z drugiej za próbę jego ponownego ustanowienia. Przyznać należy, że zarówno władze gruzińskie, powołujące się na uznaną prawem międzynarodowym integralność terytorialną Gruzji, jak i przedstawiciele regionów Osetii Południowej i Abchazji, wskazujący na prawo mniejszości narodowych do samostanowienia, mają swoje racje. Jednak eskalacja militarna tego konfliktu nie mieści się w żaden sposób w arsenale środków, jakimi w XXI w. rozwiązuje się tego typu spory.

Tym, co spowodowało szczególny wstrząs jest brutalna siła, z jaką armia rosyjska zaangażowała się w ten konflikt. Bezpardonowość i rażący brak proporcji w użyciu środków militarnych pozwalają wyciągnąć wniosek, że cele, jakie przyświecały rosyjskiej agresji daleko przekraczały zamiary sformułowane w oficjalnych deklaracjach. Wśród szeregu szablonowych haseł, które pojawiają się zawsze, gdy próbuje się uzasadnić agresję militarną na terytorium innego państwa, takich jak np. ochrona żyjących tam własnych obywateli, jedno uzasadnienie musi zostać uznane za szczególnie przerażające. Władze rosyjskie oświadczyły, że muszą przykładnie ukarać Gruzję za jej postępowanie w Osetii. Dawno już się nie zdarzyło, by jakiś cywilizowany kraj uzurpował sobie prawo do wymierzania sprawiedliwości zbiorowej mieszkańcom innego kraju, pomijając przy tym wszelkie instytucje międzynarodowe, zabijając setki przypadkowych osób cywilnych i świadomie niszcząc infrastrukturę zajętych terenów. Takie postępowanie oznacza w pewnym sensie powrót do czasów, w których rządziło prawo silniejszego, a on sam wyznaczał arbitralnie miarę wymierzonej kary. Nie jest to nawet poziom biblijnej zasady: „Oko za oko, ząb za ząb” (Wj 21, 24), gdyż ona, chociaż współcześnie uchodzi za zasadę szczególnie brutalną, w czasach biblijnych humanizowała zemstę, przewidując taką jej miarę, jaka dokładnie odpowiadała wyrządzonej przez winowajcę szkodzie. Mściciel nie mógł zatem dać niepohamowanego upustu swojej agresji do winowajcy, by samemu nie stać się winnym. Biblia zawiera fragment, który odzwierciedla postawę agresji pozbawionej jakiegokolwiek miary i przekonanej o swej całkowitej bezkarności. Jest to opowiadanie o jednym z potomków Kaina - Lameku wraz z jego cyniczną deklaracją: „Gotów jestem zabić człowieka dorosłego, jeśli on mnie zrani i dziecko, jeśli zrobi mi siniec. Jeżeli Kain został pomszczony siedmiokrotnie, to Lamek siedemdziesiąt siedem razy” (Rdz 4,

23-24). Ta rażąco nieproporcjonalna zapowiedź zemsty pozbawionej miary wskazuje w Biblii na staczanie się ludzkości w przepaść przemocy po grzechu Kaina.

Wypadki w Gruzji są świadectwem dokładnie takiej samej agresji pozbawionej racjonalnej miary oraz naznaczonej przekonaniem absolutnej bezkarności. W obliczu tej tragedii warto przywołać jeszcze raz słowa sługi Bożego Jana Pawła II wypowiedziane w 2003 r. do dyplomatów akredytowanych przy Stolicy Apostolskiej. Na dwa miesiące przed wybuchem drugiej wojny w Iraku papież w dramatycznym apelu starał się zapobiec nabrzmiewającemu konfliktowi: „*<NIE WOJNIE!> Wojna nigdy nie jest nieuchronna! Wojna zawsze jest porażką ludzkości! Prawo międzynarodowe, uczciwy dialog, solidarność między państwami, szlachetna sztuka dyplomacji – oto środki rozwiązywania sporów odpowiadające godności człowieka i narodów. Mówię to z myślą o tych, którzy wciąż jeszcze pokładają ufność w broni atomowej, oraz o zbyt licznych konfliktach, które nadal nękają naszych braci w człowieczeństwie. [...] Wojna nigdy nie jest metodą taką samą jak inne, którą można się dowolnie posługiwać, aby rozstrzygać spory między państwami. Jak przypomina Karta Narodów Zjednoczonych i prawo międzynarodowe, nawet gdy chodzi o obronę dobra wspólnego, można się do niej uciec jedynie w sytuacji zupełnej ostateczności, zachowując przy tym ściśle określone warunki i biorąc pod uwagę jej konsekwencje dla ludności cywilnej w czasie działań wojennych i po ich zakończeniu*”.

Trzeba mieć nadzieję, że obecny rozejm w Gruzji nie zostanie ponownie złamany. Choć wojna ta trwała krótko, to jednak okoliczności jej wybuchu i jej przebieg, który kosztował życie tak wielu ludzi, pokazał, jak lekkomyślnie łamane może być prawo międzynarodowe i przyjęte w cywilizowanych

krajach standardy rozwiązywania sporów. Jednocześnie konflikt ten jeszcze raz pokazał, że przy współczesnym poziomie techniki wojennej nie sposób już mówić o sprawiedliwej wojnie. Nie można bowiem liczyć na to, że przyjęte ograniczenia i warunki jej prowadzenia zostaną rzeczywiście dotrzymane. Eskalacja działań wojennych i prowadzona jednocześnie przez obie strony konfliktu intensywna kampania dezinformacyjna i propagandowa sprawiają, że nienawiść stojąca u źródeł każdego zbrojnego konfliktu nie wygaśnie jeszcze długo po zaprzestanie działań wojennych, stając się zarzewiem nowych konfliktów. Natarczywa prośba i wołanie papieża musi zabrzmieć również w stosunku do tego konfliktu: Nie wojnie!

Wrzesień 2008

Nowa wersja historii?

Wśród komentarzy do obchodów rocznicy zamachów z 11 września 2001 r. w Nowym Jorku nie zabrakło także porównań z uroczystościami upamiętniającymi 30. rocznicę powstania Wolnych Związków Zawodowych w naszym kraju. Rzeczywiście, na tle wspólnie przeżywanej powagi kandydatów na prezydenta USA – mimo, iż kampania wyborcza wkracza tam w decydującą fazę – za smutne, chociaż typowe należy uznać wzajemne oskarżenia działaczy opozycyjnych w Polsce. Na organizowane w Sejmie przez Annę Walentynowicz obchody nie zaproszono wielu solidarnościowców, którzy uznawani byli za ikony ruchu opozycyjnego ostatnich dziesięcioleci istnienia PRL-u, przede wszystkim Lecha Wałęsę. Towarzyszące obchodom wypowiedzi, jak i repliki na nie jeszcze bardziej uwydatniły głębokie podziały w środowiskach postsolidarnościowych. Sytuacja jest oczywiście złożona i

apele o zapomnienie o przeszłości na nic się nie zdadzą, nie trafiają też w sedno problemu.

Nie da się zaprzeczyć, że istnieje silna tendencja do swoistej „hagiografizacji” historii ruchu opozycyjnego w czasach PRL-u. Wobec wielu nowych faktów, które wychodzą na światło dzienne dzięki badaniom dokumentów i gromadzeniu zeznań, pomnikowa wersja historii nie może być jednak traktowana jako nienaruszalna i jedyna prawda. Musi wzbudzać podejrzliwość roszczenie pozostawienia nietykalnymi czołowych działaczy i taktowanie każdej próby odsłonięcia kulisów ich działalności i postaw niemalże jako szargania narodowych świętości. „Wyłożenie kart na stół” i odsłonięcie całej prawdy o tamtych czasach – co jest niemożliwe bez mozolnej pracy historyków, polemik i przeciwstawnych interpretacji – jest historycznym obowiązkiem współczesnych. Jeżeli teraz nie zostanie odsłonięta prawda o tamtych czasach, zaprzepaszczone zostanie szansa narodowego pojednania. Dla przyszłości Polski jest ono absolutnie niezbędne. Czy jednak oznacza to pisanie „własnej wersji historii”? To bardzo nieszczęśliwe sformułowanie, które padło w czasie sejmowych obchodów, nie może się nie kojarzyć z czasami, w których pisano historię pod dyktando partyjnych potrzeb. Dlatego nie może chodzić o *własną*, ale jedynie o *prawdziwą* historię ruchu opozycyjnego, z którego wyrosła „Solidarność”.

To jednak nie wszystko. Jeżeli dziedzictwo tego, co stało się w Polsce w ostatnich dziesięcioleciach XX w. nie ma zostać zaprzepaszczone, nie wolno poprzestać na opartym na prawdzie, sprawiedliwym rozrachunku z przeszłością. Przywołując fakty historyczne, trzeba tym bardziej na nowo odsłonić wartości, jakie uczyniły ten ruch wydarzeniem na skalę światową. Odzwierciedlają je dawne teksty, będące jakby wcieleniem ducha „Solidarności”. Niezwykle silnym impulsem, który nadał robotniczemu

protestowi jego typowo polską, w stąd niewątpliwie chrześcijańską twarz, były słowa Jana Pawła II. Usiłował on spontanicznemu ruchowi sprzeciwu nadać formę ruchu broniącego prawa do prawdy i godnego życia dla każdego człowieka. Lepsze niż próby zawłaszczania historii dla takich czy innych aktualnych interesów, byłoby więc wydobyć, przywołać i ponowne przemyślenie fundamentalnych tekstów, które dla milionów stały się źródłem nadziei i nowej, wyzwolonej tożsamości. Jednym z takich tekstów może być fragment papieskiego przemówienia, wygłoszonego w czasie spotkania ze światem pracy na gdańskiej Zaspie, 12 czerwca 1987 r.: *„Jeden drugiego brzemiona noście” — to zwarte zdanie Apostoła jest inspiracją dla międzyludzkiej i społecznej solidarności. Solidarność — to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemię, to brzemię niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu. Jedni przeciw drugim. I nigdy „brzemię” dźwigane przez człowieka samotnie. Bez pomocy drugich. Nie może być walka silniejsza od solidarności. Nie może być program walki ponad programem solidarności. Inaczej — rosną zbyt ciężkie brzemiona. I rozkład tych brzemion narasta w sposób nieproporcjonalny. Gorzej jeszcze: gdy mówi się: naprzód „walka” — choćby w znaczeniu walki klas — to bardzo łatwo drugi, czy drudzy pozostają na „polu społecznym” przede wszystkim jako wrogowie. Jako ci, których trzeba zwalczyć, których trzeba zniszczyć. Nie jako ci, z którymi trzeba szukać porozumienia — z którymi wspólnie należy obmyślać, jak „dźwigać brzemiona”. „Jeden drugiego brzemiona noście”.*

Nie sposób nie dostrzec, jak bardzo te wypowiedziane przed ponad dwudziestoma laty słowa papieża w obecnej polskiej sytuacji społecznej nabierają nowej aktualności. Polska płaciła wielokrotnie w historii niezwykle wysoką cenę za brak podstawowej umiejętności poszukiwania wspólnego dobra mimo różnych poglądów. Słowo „Solidarność” zachowa swoją siłę

jedynie wtedy, gdy będzie jednoznaczne z postawą gotowości do pojednania, do współpracy dla wspólnego dobra z ludźmi inaczej myślącymi, do poszukiwania wspólnych dróg. Gdy zostanie zredukowane do taniego hasła wyborczego, podzieli los innych wielkich słów, takich jak np. „prawda”. Było ono przez dziesięciolecia tytułem prasowego organu partii, która zbudowała największe w historii imperium kłamstwa.

Październik 2008

Taniec wokół złotego cielca

Dla wielu obserwatorów krach na amerykańskim rynku finansowym nie przyszedł niespodziewanie. Od czasu do czasu odzywały się głosy ostrzegające przed kryzysem bankowym. Bankructwo największych banków inwestycyjnych, będące następstwem inwestycji w ryzykowne obligacje, zostało spowodowane nieodpowiedzialnym pragnieniem szybkich zysków. Nadzwyczajna pomoc amerykańskiego Kongresu dla ratowania sektora finansowego, stanowiąca bezprecedensową ingerencję państwa w bądź co bądź wolnorynkową gospodarkę, wskazuje na to, jak dalece obecny kryzys może pociągnąć ku zapaści finansowej całą gospodarkę amerykańską, a ze względu na globalne zależności może także wywołać światową recesję. Panika na giełdach i gwałtowna wyprzedaż akcji spowodowała drastyczne spadki notowań, największe od dziesięcioleci. Chociaż zwykły obywatel, który ani nie dysponuje fortunami, ani też ich nie inwestuje zbyt wielkich funduszy, niewiele rozumie z zawiłości transakcji giełdowych, bo też rzekomy światowy kryzys go na razie nie dotyka. Wielu jednak stawia sobie pytanie: jak to jest możliwe, by zyski potentatów na rynku finansowych były sprywatyzowane, natomiast długi miały być upaństwowione, co oznacza po prostu, że olbrzymia

pomoc finansowa dla bankrutujących banków nie pochodzi z nikąd, ale z pieniędzy podatników?

Obok pogłębionych analiz rynków inwestycyjnych i gospodarczych zależności, warto dostrzec w obecnym kryzysie symptom choroby, która toczy euroatlantycką cywilizację od dawna. Jest nią żądza posiadania. Nie ulega wątpliwości, że prawo do prywatnej własności i inicjatywy, zakotwiczone w systemie wolnej gospodarki, należą do zasadniczych zdobyczy zachodniej cywilizacji i są jednym z głównych czynników, na których opiera się dobrobyt jej obywateli. Kościół niejednokrotnie dawał wyraz swojego przekonaniu o tym, że własność prywatna należy do naturalnych praw każdego człowieka. Nigdy jednak Kościół nie udzielił poparcia zdziczałemu kapitalizmowi, który pragnienie nieograniczonego pomnażania zysków chciałby uczynić podstawową i wyłączną miarę postępowania przedsiębiorców i inwestorów.

Warto w kontekście obecnego kryzysu przypomnieć encyklikę Jana Pawła II „Centesimus annus” z 1991 r. Wydana bezpośrednio po ostatecznym załamaniu się komunizmu encyklika daleka jest od zachwyty w stosunku do systemu kapitalistycznego. Na początku lat dziewięćdziesiątych wydawał się on tryumfować i to między innymi z tego względu, że socjalistyczna planowa gospodarka doznała totalnej zapaści. Papież nie waha się podkreślić, że Kościół uznaje pozytywną rolę zysku jako wskaźnika dobrego zarządzania przedsiębiorstwem, jednak nie może to być ani jedyny, ani tym bardziej najważniejszy wskaźnik. Chociaż pragnienie każdego pojedynczego człowieka, by żyć lepiej, nie jest niczym złym, jednak *błędem jest styl życia, który wyżej stawia dążenie do tego, by mieć, aniżeli być, i chce więcej mieć nie po to, aby lepiej być, lecz by doznać w życiu jak najwięcej przyjemności* (CA, nr 36). Krytykując marksistowską koncepcję społeczeństwa, która doprowadziła do ucisku i wyzysku społeczeństwa byłego Bloku Wschodniego, Papież mówi

również o niebezpieczeństwie alienacji połączonej z utratą autentycznego sensu istnienia w społeczeństwach zachodnich z kwitnącą gospodarką wolnorynkową. Człowiek wyobcowuje się wtedy, gdy ogarnięty żądzą niepohamowanej konsumpcji, wikła się w sieć fałszywych i powierzchownych satysfakcji. *Alienacja występuje również w sferze pracy, kiedy jej organizacja jest nastawiona tylko na maksymalizację produkcji i zysku [...]; alienacja polega na odwróceniu relacji środków i celów: człowiek, nie uznając wartości i wielkości osoby w samym sobie i w bliźnim, pozbawia się możliwości przeżycia w pełni własnego człowieczeństwa i nawiązania tej relacji solidarności i wspólnoty z innymi ludźmi, dla której został stworzony przez Boga* (CA, nr 41).

Fakt, że obecny kryzys finansowy u swych korzeni wywołany został przez niepohamowaną żądzę zysku, jest jednym z symptomów ślepej uliczki, w jaką prowadzi ludzka kreatywność, jeśli odrzuci się wszelkie inne miary, a uznaje jedynie prymat nieograniczonego posiadania. Jeżeli społeczeństwa czynią finanse symbolem racjonalności, a znaczenie człowieka jest mierzone stanem jego posiadania, zmierzają one nieuchronnie ku zagładzie. Statua byka – symbol giełdowej hossy, przywodzi mimowolnie na myśl biblijnego złotego cielca, który stał się symbolem bałwochwalczego kultu, skonstruowanego i sprawowanego według wyłącznie ludzkich wyobrażeń (Wj 32, 1-35). Giełdowy byk symbolicznie oznacza siłę, która podrzuca w górę nawet niedźwiedzia (symbol giełdowej bessy). To porównanie, wzięte z walki byka z niedźwiedziem, którą mieli kiedyś zorganizować kalifornijscy poszukiwacze złota, może w kontekście obecnego kryzysu oznaczać także bezpardonowe i bezmyślnie depczące wszelkie inne wartości pragnienie zysku. Kto próbuje zbudować świat – i to zarówno w makro- jak i mikroskali – jedynie na żądzy zysku, uruchamia bombę zegarową, której wybuch jest jedynie kwestią czasu.

Listopad 2008

„Wtedy wydadzą was na udrękę...” (Mt 24, 9)

Europejscy chrześcijanie, słysząc o prześladowaniach za Chrystusa, myślą zazwyczaj o czasach rzymskich cesarów, o arenach pełnych dzikich zwierząt i lasach krzyży, na których umierali pierwsi zwolennicy Nazarejczyka. Jednak perspektywa prześladowania za wiarę jest bliższa niż się wydaje. XXI wiek nie jest czasem powszechnej tolerancji religijnej, ale staje się nasilającym się bezkompromisowej walki z chrześcijaństwem, która w niektórych regionach świata nie cofa się przed przemocą. Pogromy chrześcijan w Indiach i Iraku, jakie miały i mają jeszcze miejsce w tym roku, są dramatycznym wyrazem antychrześcijańskiej kampanii, która daje o sobie znać także w innych częściach świata. Historia zna wprawdzie wiele wojen religijnych, również takich, które były prowadzone w imię Chrystusa. Jednak mogłoby się wydawać, że we współczesnym świecie religie nauczyły się pokojowego współistnienia, przynajmniej biernej tolerancji, ale także czynnego dialogu. Nadzieja ta okazuje się jednak mylna.

Wybuch nienawiści na tle religijnym ma zawsze swoje głębokie przyczyny, które warto przywołać w obliczu dzisiejszych prześladowań chrześcijan. Wielu komentatorów wini za wybuchy tego rodzaju nienawiści i przemocy samą religię. To ona, przez swoje skoncentrowanie na prawdzie religijnej, która nie uznaje kompromisu, prowokuje rzekomo najpierw niechęć do inaczej wierzących, a potem pragnienie ich zniszczenia bądź też nawrócenia siłą. Dlatego też postuluje się eliminację religii, albo przynajmniej usunięcie jej z przestrzeni społecznej, co miałoby być najlepszą drogą do zachowania społecznego pokoju. Inni postulują takie „oswojenie” religii, by wyzbyła się przekonania o poznaniu prawdy, a stała się jedynie niezobowiązującą

propozycją wśród wielu innych, tak by każdy mógł wybrać i skonstruować sobie własny zestaw wierzeń. Dla głęboko wierzących każdej religii takie propozycje są nie do przyjęcia. Prawda religijna, która nie byłaby pewna samej siebie, nie byłaby też w stanie dać człowiekowi nadziei, której oczekuje od religii. Wiarę religijną, która byłaby niepewna, niewarta tego, by za nią cierpieć a nawet oddać życie, można by sobie spokojnie podarować, bo byłaby jedynie oszustwem. Propozycje eliminacji prawdy religijnej z przestrzeni społecznej bazują jednak na fałszywym założeniu, gdyż to nie sama prawda religijna jest przyczyną wojen religijnych.

Główną przyczyną prześladowań religijnych jest przekonanie, że w imię prawdy religijnej wolno, a nawet trzeba używać wszystkich środków włącznie z przemocą. Niejednokrotnie przekonanie to jest połączone z pewną formą „sakralizacji” określonego obszaru terytorialnego – państwa czy regionu, na którym inaczej wierzący nie mają żadnych praw, a w okresach niepokoju są brutalnie prześladowani i zabijani. Ludzie wierzący w ten sposób są przekonani, że ich postępowanie jest błogosławione przez Boga, który nierzadko sam nabiera w ich oczach cech istoty mściwej i brutalnej. Stąd też tak istotną sprawą jest nieustanne piętnowanie takiego przekonania. Staje się on jednym z najważniejszych warunków dialogu międzyreligijnego. Od czasu swojego wyboru na Stolicę Piotrową Benedykt XVI uczynił krytykę przemocy w imię Boga jednym z głównych zadań swojego pontyfikatu. W słynnym przemówieniu na uniwersytecie w Ratyzbonie w 2006 r., które stało się przyczyną fali przemocy przeciwko chrześcijanom w niektórych krajach islamskich, papież przywołał fragmenty czternastowiecznego sporu między bizantyńskim cesarzem Manuelem II, a pewnym uczonym Persem. W sporze tym pada kluczowe zdanie, które można uznać także za esencję przesłania Benedykta XVI: *Bóg nie ma żadnej przyjemności w rozlewie krwi*. Religie

zawsze prowadziły i będą prowadziły spór o prawdę. Spór ten prowadzony jest także na innych płaszczyznach ludzkiego poznania. Nie jest on niczym negatywnym, a nawet może stać się twórczym impulsem, poszerzającym ludzkie poznanie. Spierający się jednak nie mogą zamykać oczu na to, że decyzja o przyjęciu prawdy o rzeczywistości, również, a może przede wszystkim – prawdy religijnej, musi dokonać się w wolności, albo nie dokonuje się w ogóle.

Poza ta fundamentalną, istnieje jednak jeszcze inna przyczyna współczesnych wybuchów przemocy w imię Boga. Jest nią obojętność otoczenia. Akty przemocy i pogromy chrześcijan w Indiach i Iraku dokonują się za milczącym przyzwoleniem władz i sił porządkowych, dla których oparty na przemocy fundamentalizm religijny jest środkiem do ugruntowania i zachowania władzy. Równie poważna jest jednak wina jeszcze innych świadków, którzy obojętnie patrzą na eskalację religijnej przemocy. Są nimi kraje wysoko rozwinięte, które tak bardzo szczycą się swoją tolerancją, ale jednocześnie zajmują wyczekującą postawę wobec pogromów chrześcijan ze względu na własne interesy gospodarcze i polityczne. Jeżeli zbyt gwałtowne wypowiedzi mogłyby zagrozić interesom gospodarczym krajów bogatych, oficjalne reakcje są niezwykle wyważone, bądź też nie ma ich w ogóle.

Obojętność wobec niesprawiedliwej przemocy prowadzi zawsze do rozzuchwalenia sprawców i wzmacnia jedynie rozmiary tragedii. Wobec obojętności i cynizmu świata wielkiej polityki wobec współczesnych prześladowań za wiarę, tym głośniej powinien rozbrzmiewać głos wspólnot chrześcijańskich w krajach, w których wierzący nie są krwawo prześladowani. Wprawdzie zgodnie z powiedzeniem z pierwszych wieków chrześcijaństwa, krew męczenników jest nasieniem nowych pokoleń wierzących, jednak tą krwią nie wolno nam lekkomyślnie szafować. Jednym z fundamentalnych

postulatów etycznych globalizującego się świata powinien być zbiorowy wysiłek zmierzający do tego, by nigdzie i nigdy nie stosowano przemocy w imię Boga.

Grudzień 2008

„Testament życia”

Wśród tematów, które stały się przedmiotem publicznej debaty w ostatnich tygodniach jest temat tzw. „testamentu życia” lub „testamentu pacjenta”. Chodzi o zobowiązujące lekarza pisemne oświadczenie pacjenta, odnoszące się do podejmowania bądź zaniechania działań medycznych na wypadek, gdyby pacjent znalazł się w stanie, w którym nie będzie mógł wyrazić swej woli. Według doniesień prasowych wprowadzenie ram prawnych dla tego rodzaju dokumentu znalazło się wśród postulatów, jakie zgłosiła premierowi komisja bioetyczna powołana przez posła Jarosława Gowina. Żeby móc ustosunkować się do tej inicjatywy, trzeba by najpierw zapytać, jaka jest jej geneza: czyje oczekiwania ma spełnić, komu służyć, komu zależy na jej uchwaleniu? Gowin deklaruje, że jej celem jest prawne wzmocnienie statusu pacjenta, jego autonomii w decydowaniu o podejmowanych wobec niego działaniach medycznych. W takim kierunku zmierza też Europejska Konwencja Biomedyczna z 1997 r., której ratyfikacja przez Polskę była nadrzędnym celem prac powołanej komisji. Nie ma powodów, by nie dowierzać tego rodzaju deklaracjom. Mimo to nie można pominąć także innych aspektów takiej regulacji prawnej. Byłaby ona, jak się argumentuje, korzystna dla środowiska lekarskiego, gdyż pomogłaby w podejmowaniu decyzji w sytuacjach terminalnych. Obecnie zdarza się, że lekarz, który zaprzestaje zbędnych i nieskutecznych działań terapeutycznych, zostaje po zgonie pacjenta

pociągnięty przez jego rodzinę do odpowiedzialności karnej, z racji rzekomego spowodowania jego śmierci. Jest jeszcze jeden aspekt, który może być niepokojący. Nie sposób nie zauważyć, że żądanie uprawomocnienia „testamentu życia” należy do sztandarowych postulatów środowisk proeutanazyjnych. Sama jego nazwa – „living will” jest właśnie typowa dla inicjatyw tych środowisk, uważających, że człowiek ma nie tylko moralne prawo do decydowania o własnym życiu, ale także o momencie własnej śmierci. Wyrazem tego prawa miałyby być śmierć na życzenie. Lekarz, ale dzięki prawnym regulacjom także całe społeczeństwo, musieliby takie życzenie respektować. Chociaż zapewne – jak w innych skrajnych przypadkach – lekarz mógłby się powołać na klauzulę sumienia, co oznaczałoby, że żaden lekarz nie mógłby zostać zobligowany do czynnego uśmiercenia pacjenta. Jednak musiałby on zaniechać wszelkich działań, również tych ratujących życie w sytuacji, gdy pacjent jeszcze nie umiera, a jedynie stan, w jakim się znajduje, nie spełnia jego oczekiwań co do jakości życia.

Wszystkie te aspekty muszą być wzięte pod uwagę przy moralnej ocenie „testamentu życia”. Zasadniczo można sobie wyobrazić wersję takiego testamentu, która byłaby zgodna z moralnością chrześcijańską. Również w jej ramach podkreślona jest osobista odpowiedzialność wobec Boga za własne życie, a także godziwość rezygnacji z tzw. uporczywej terapii, tzn. godziwość *zaprzestania zabiegów medycznych kosztownych, ryzykownych, nadzwyczajnych lub niewspółmiernych do spodziewanych rezultatów* (Katechizm Kościoła Katolickiego, nr 2278). Nie jest to eutanazja, ale raczej pogodzenie się z ludzką kondycją, do której należy śmiertelność. Również ostatni akt życia, jakim jest umieranie, powinien być w miarę możliwości przeżyty świadomie i z godnością. Celem działania lekarza, który zaprzestaje takich zabiegów, jak i pacjenta, który o to prosi, nie jest skrócenie życia, a

jedynie rezygnacja z powstrzymywania śmierci, gdy jest ona nieuchronna. Jeżeli „testament życia” miałby się odnosić do tej sytuacji i spełniałby powyższe warunki, byłby z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej jak najbardziej do zaakceptowania. Gdyby takie wyrażenie woli pacjenta dodatkowo zapewniło prawne bezpieczeństwo lekarzom, byłby to dodatkowy, jak najbardziej godziwy argument za jego wprowadzeniem.

Problem leży jednak w tym, że już na przedpolu tej inicjatywy legislacyjnej pojawiają się głosy, że „testament życia” miałby dotyczyć nie tylko sytuacji terminalnej (okresu poprzedzającego śmierć), ale zasadniczo każdej sytuacji, która byłaby na tyle dokuczliwa i nie do zniesienia, że pacjent nie wyobrażałby sobie dalszego życia i pragnąłby notarialnie zapewnić sobie zakaz jakiegokolwiek ingerencji lekarskiej. Taki pogląd nie tylko radykalnie odbiega od chrześcijańskiej wizji życia, ale kłóci się także z podstawowymi wytycznymi etyki lekarskiej. Życie jest fundamentalną wartością etyczną i wymaga ochrony, niezależnie od jego jakości. Dla chrześcijanina życie pozostaje zawsze darem i zadaniem, chociaż na jakimś jego etapie może to być bardzo kłopotliwy dar i niezwykle trudne do podjęcia zadanie.

Ostatecznie ocena „testamentu życia” będzie zatem zależała od kształtu, jaki przyjmie proponowana regulacja prawna. Gdyby miała ona polegać jedynie na zapewnieniu możliwości sporządzenia takiego dokumentu (który miałby później bezwzględnie zobowiązywać lekarza, a nie tylko być pewną pomocniczą dlań wskazówką), bez jakichkolwiek wytycznych co do jego treści, trudno będzie taką inicjatywę ustawodawczą zaakceptować. Będzie ona bowiem równoznaczna ze zredukowaniem wartości ludzkiego życia i uzależnieniem jej od subiektywnej oceny pacjenta. Równałoby się to ustawowemu uznaniu, że są sytuacje, w których życie staje się niegodne

kontynuacji, co stanowi treściowe sedno wszystkich ustaw legalizujących eutanazję.

W trosce o społeczno-etyczne ramy, w jakich działa opieka zdrowotna, ale także o spójność etosu lekarza, jako kogoś, kogo najwyższym obowiązkiem jest ochrona i ratowanie życia, należy bardzo uważnie przyjrzeć się proponowanym zmianom w prawie.

Ks. Marian Machinek MSF